



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Jan Lam.

Kiedy się łyzy jeszcze nie otarło z powiek i na oczach ma się świeża mogiła, której oddano zwłoki niepospolitego człowieka i pisarza, trudno mówić nazimno o stracie, jaką społeczeństwo i literatura poniosły.

Takich, jak Lam, nie wielu było i niewiele pozostało w nowszym pokoleniu piszących; a co gorsza, jak nad grobem dawnych rycerzy łamano kopią, gdy schodzili bez potomka, tak nad grobami wielu pisarzy poetów, publicystów, trzeba by złamać pióro, gdyby nie wiara w przyszłość, że choćby późno znajdzie się jakiś godny ich pogrobowiec.

Po Lamie nierychło wszelako spodziewać się można godnego następcy; talent był zbyt oryginalny i za wielki w swoim rodzaju, organizacja umysłowa zbyt niezwykła, aby się powtórzyć miała w pokoleniu, które inny zajęło poziom od tego, na jakim tacy pisarze, jak Lam, wyrastali.

I atmosfera cała, i chwila poczęcia się literackiej jego twórczości, wpływy i warunki były przychylniejsze wówczas, gdy znakomity humorysta wchodził w szranki przed laty dwudziestu pięciu.

Wspominaliśmy już w zeszłotygodniowej wzmiance



o obcym pochodzeniu Lama; rodzina jego przesiedliła się z Hesji w początku bieżącego stulecia do Galicji. Pradziad s. p. Jana był emigrantem szkockim, ojciec, Konrad, urodzony w Kromieryżu na Morawach 1809 roku, spolszczył się, wraz z młodszym rodzeństwem przeszczepiony na grunt galicyjski, gdzie u Jezuitów w Tarnopolu pobierał nauki, a w Stanisławowie ożenił się 1837 r. z Polką, Joanną Ziolecką, córką urzędnika przy tamtejszem *forum nobilium*. Z tego małżeństwa w rok później, 16 Stycznia, urodził się najstarszy syn Jan Paweł Ferdynand, który miał się stać później chlubą swojej rodziny i w ścisłym i szerszym jej znaczeniu.

Ojciec Jana był kommissarzem straży skarbowej; przenoszono go w interesach urzędowych z miejsca na miejsce, do Kocmanina na Bukowinie, do Śniatyna, Buczacza i t. d. W tych warunkach trudno było marzyć o prawidłowym kształceniu chłopca, więc też pierwsze lata dziecięce upłynęły mu bezczynnie na owych peregrinacjach z ojcem i matką po wschodniej Galicji. Czytać i pisać po polsku poduczył się od matki i od stryja, ale sam wyznaje w swojej autobiografii pomieszczonej w kalendarzu *Muchy* z roku przeszłego, że mając lat dziewięć mówił i myślał tylko po niemiecku.

JAN LAM, † d. 3 Sierpnia 1886 r.

Obcowanie z młodzieżą polską i wypadki 1848 roku przemieniły małego „szwaba“ w Polaka tak, iż poczuwszy w sobie żyłkę pisarską, zaczął tworzyć polskie wierszyki i opowiadania do spółki z młodym towarzyszem i przyjacielem lat dzieciennych Wł. K. Zielińskim, synem byłego redaktora „Lwowianina“, a u którego rodziców w Lubyczy bywał częstym gościem.

Oto charakterystyczny ustęp ze wspomnianej autobiografii nieboszczyka: „Gniewało go (Lam pisze o sobie w ten sposób), że dzieci p.p. Zielińskich mając guwernantkę, rozmawiały często po francuzku, a on ich nie rozumiał. Przypadkiem otrzymał w prezencie od ks. Kochlewskiego, wikarego w Lipsku (koło Narola) starą gramatykę niemiecko - francuzką Meidingera i powieść p. t. „Le petit Grandisson.“ Zabrał się do tych książek tak gorliwie, że w parę tygodni później, będąc w Lubyczy, przemówił nagle po francuzku do p. Olgi Zielińskiej (późniejszej pianistki Olgi Janiny).

„Prorok Balaam, gdy do niego przemówił jego osioł, nie był tak zdziwiony, jak wszyscy obecni, najwięcej zaś ojciec zaimprovizowanego Francuza. Wzięto chłopca na egzamin, kazano czytać i pisać pod dyktowaniem, obdarzono książkami i kazano przywozić go jak najczęściej do Lubyczy, wraz z *thémami*, które poprawiał guwerner. Ojciec, zachęcony przykładem syna, w 42-m roku życia, zaczął się także sam uczyć po francuzku i doprowadził do tego, że mógł wkrótce czytać wszystko bez słownika i rozmówić się po francuzku.

„W dalszym ciągu swojego pobytu w Narolu (przy rodzicach), przyswoił sobie późniejszy humorysta jeszcze język włoski i angielski o tyle, że rozumiał książki w nich pisane.“

Przytoczyliśmy umyślnie ów szczegół, aby zaświadczyć o nadzwyczajnych zdolnościach chłopca, który własnej pracy i chęci do nauk zawdzięczał prawie całe swe wykształcenie późniejsze, bardzo rozległe i gruntowne.

Nie mając sposobności systematycznej nauki w szkołach, korzystał z niej dorywczo, pracując w domu. Zdarzyło się szczęśliwie, że ojca Lama przeniesiono na dłuższy pobyt do Buczacza; wtedy u O.O. Bazylianów przez rok jeden, jako szóstoklasista, po zdanym egzaminie wstępnym uczęszczał do gymnazjum, ale następnie znowu trzeba było studia przerwać i za osobnem pozwoleniem ministerjalnem składać maturę, czyli tak zwany egzamin dojrzałości, w Stanisławowie.

Zdał go z wyszczególnieniem, jakby na przekór zasadzie, że ludzie prawdziwi utalentowani w literaturze na ławkach szkolnych rzadko kiedy celowali w naukach.

Poprawiły się jakoś od tego czasu losy młodego Lama, otrzymał stypendjum fundacji s. p. Jana Żurakowskiego, powinowatego matki, i mógł w 1855 roku przenieść się do Lwowa i uczęszczać na fakultet prawniczy — „bardzo nie chętnie“, jak sam przyznaje. Ulegał tylko woli ojca, który mu przeznaczał zawód adwokata.

Po trzech latach s. p. Jan przeniósł się wszelako na wydział filozoficzny, ale gdy jednocześnie wybuchła wojna, w Maju 1859, młody akademik zaciągnął się w szeregi austriackie, odbył całą kampanię włoską i walczył pod Solferino.

Pięć miesięcy trwała ta żołnierka syna muz, którego Apollo wypożyczył tylko Marsowi, a jakby na talizman kazał mu w tornistrze dźwigać... manuskrypt tragedii, napisanej na wzór „Barbary Radziwiłłówny“ Felińskiego p. t. „Wanda.“

Po powrocie z wojny Lam guwernerką zarabiać musiał na życie, nie dowierzał jeszcze swoim siłom i zdolnościom literackim. U p. Hipolita Łączyńskiego w Derewlanach pod Buskiem, a potem u hr. Potena w Łahodowie bawił jako nauczyciel domowy; przed wojną zaś kosztował już tego chleba w domu p. Kamilli z ks. Czetwertyńskich Chołoniewskiej.

Ta guwernerka miała swą dobrą stronę ponieważ ogładziła i wyszlifowała młodego człowieka pod względem towarzyskim, pobyt w zamożnych arystokratycznych domach pozostawił ślady w wykwintnych manierach i całym „wzięciu się“ Lama, którem odznaczał się do końca życia.

W Derewlanach powstał rapsod historyczny, wierszem napisany p. t. „Zawichost“, wydrukowany bez wiadomości autora przez kolegów jego na dochód „Stowarzyszenia bratniej pomocy“ w r. 1862. Odtąd pana guwenera zaczęło ciągnąć coraz bardziej do literatury; podczas swoich częstych wizyt we Lwowie dawał popęd do wydawnictwa ulotnych pism humorystycznych, jak: *Kometa*, *Bąk*, *Krzykacz*, *Kometa II*, a następnie wspólnie z przyjaciółmi swymi nabył od drukarza Poremby koncesyję na pismo *Kuźnia*, i należał czas jakiś do jej redakcyi.

Pisywał też w tym czasie do *Dziennika Polskiego*, a po jego upadku objął kierownictwo *Dziennika literackiego*, którym redaktor tego pisma s. p. Jan Dobrzański nie mógł się już tak gorliwie zajmować, odkąd działalność swoją przeniósł na pole publicystyki w *Gazecie Narodowej*, nabytej wtedy właśnie od Hipolita Stupnickiego, ojca, rzec można całej nowszej prasy we Lwowie.

W *Dzienniku literackim* Lam ogłosił też pierwszą swą powiastkę p. t. „Pan kommissarz wojenny“, podznaczoną dwiema literkami *n. m.*

W tej chłości blagi i blagierów, czepiających się najświętszej nawet sprawy, autor odsłonił od razu lwie pazurki przyszłego „kronikarza“ i humorysty.

Wypadki 1863 roku przerwały literacką karierę Lama; po dwóch latach tułaczki „pan kapitan“ zawinął do spokojniejszej przystani i w 1865 roku ożenił się z p. Maryą Jasińską, córką właściciela dóbr w Wiktorówce pod Kozową, a przeniósłszy się we Wrześniu następnego roku do Lwowa, otrzymał posadę w redakcyi *Gazety narodowej*.

Odtąd rozpoczyna się już nieprzerwana działalność literacka i dziennikarska Lama; w *Gazecie* pisywał artykuły do kroniki codziennej i recenzje teatralne, a nabrawszy większej wprawy i ciętości, stworzył w piśmie tem, najpopularniejszym swojego czasu, wyborne, rozgłosne, znakomite niekiedy, „Kronki lwowskie.“

Była to chwila, kiedy s. p. Agenor Gołuchowski obejmował rządy w Galicyi i wspólnie z Ziemiańskim, dzisiejszym ministrem wprowadzał politykę galicyjską na tory ugodowe, a zarazem starał się w Wiedniu wywalczyć szersze dla kraju prawa.

Dobrzański i Lam popierali ten nowy kierunek; rozeszli się wszelako w poglądach, gdy główny redaktor ostygł w zapale, a felietonista *Gazety* pozostał wiernym polityce Ziemiańskiego, którego uważał za przedstawiciela dążeń demokratycznych i postępowych.

W roku 1869 przyszło do zupełnego zerwania i kiedy stronnictwo dzisiejszego „ministra dla Galicyi“ wznowiło wydawnictwo *Dziennika Polskiego*, Lam opuścił *Gazetę* i przeniósł się do pisma, którego wytrwale przez lat siedmnaście był głównym filarem.

W przededniu zgonu jeszcze, ostatniemi tchnieniami zduszonoję astmą piersi próbował dyktować kronikę do *Dziennika*, ale śmierć zamknęła mu usta z niedopowiedzianym na nich wyrazem.

Tym felietonom Lam zawdzięczał szeroką swą sławę i popularność; były one czemś nowem, zupełnie oryginalnem w polskiej prasie; iskrzący dowcip tryskał z tych pogawędek swobodnych, ciętych, zaprawionych świetnym, choć często zgryźliwym, humorem. „Kronikarz lwowski“ miał dar szczególniejszy pochwytywania w lot każdej śmieszności i oświecania jej jaskrawym dowcipem swoim.

Nie zawahał się przed żadnym środkiem, gdy trzeba było według jego widzenia rzeczy, napiętnować głupstwo, podłość, fałsz lub błagę, niepraktyczność czy interesowność jednostki lub stronnictwa całego. Z przekonania umiarkowany liberalista walczył z partją zachowawców, a najdotkliwsze cięgi wymierzał „Stańczykom“ i zacofańcom wszelkiego rodzaju, nie przepuszczając zresztą nikomu, nawet ze stronników i współwyznawców jednej idei, gdy pobiłdzili.

W tych kronikach Lama pozostała historia politycznych, społecznych i towarzyskich błędów Galicyi, wytykanych ostro, zaostro niekiedy, oświecanych zbyt jednostronnie, gdy chodziło o osobistość zwłaszcza, ale pod gryzącą ironią fe-

lietony i obserwatora czuć było serce prawego obywatela, kochającego nadewszystko kraj i społeczeństwo.

Polityczny rozwój Galicyi w ostatnich latach dwudziestu miał w Lamie swojego Juwenala; patrzył on bacznie na wszystkie strony i badał każde tętno publicznego i autonomicznego żywota prowincyi, której był specjalnym zkrwi i kości satyrykiem. To zamknięcie się w obrębie jednej sfery, jednych stosunków, nadało mu charakter przeważnie miejscowy, galicyjski, właściwie lwowski.

Człowiek dystyngowany, grzeczny, łagodnego usposobienia w stosunkach towarzyskich i w życiu prywatnem, w piórze miał ciętość i ostrość brzytwy, a śmiałość wypowiedzania najprzykrzejszych prawd swojemu społeczeństwu, choćby gryzły jak piasek sypnięty w oczy.

Oprócz „kronik“, Lam pisywał mnóstwo artykułów politycznej, społecznej, ekonomicznej treści, zajmował się żywo wszystkim i wszystkimi. Literaturę polską i obcą, a zwłaszcza angielską, badał z wielką gorliwością; wyjątkowa, zdumiewająca pamięć ułatwiała mu pracę i studia, których przy zajęciach swoich i życiu rozrywaniem, systematycznie prowadzić nie mógł, a jednak daty, cyfry, cytaty, najdrobniejsze szczegóły historyczne miał na zawołanie i sypał niemi, jak z rękawa.

Z rozgłosem Lama, jako felietonisty, łączył się rozgłos powieściopisarza, odkąd w felietonach *Narodówki* pomieścił ową słynną „Pannę Emilię“, czyli „Wielki świat Capowie“ i „Koroniarza w Galicyi“, były to jakieś mieszaniny dwóch rodzajów humorystyki, felietonu tygodniowego z nowellą, co dodawało im oprócz interesu, jaki wzbudzał talent, forma i treść tych utworów, pewnej aktualności chwili bieżącej.

Rozrywano te powieści, śmiano się do łez przy ich czytaniu, a powodzeniem zachęcani autor, rozwijał coraz świetniejsze kolory, coraz żywsze iskry dowcipu i humoru, kształconego na wzorach takich mistrzów, jak Dickens i Thackeray.

Większe powieści Lama, jak „Głowy do złotych“, „Idealisci“, „Dziwne karyery“ — wyróżniały się tym samym talentem znakomitym, ale w niektórych architektonika szwankowała; pisał je dorywczo bez planu opracowanego, obmyślanego dłużej, numer za numerem najczęściej, według gwałtownej potrzeby, gdy chłopak z drukarni czekał u drzwi i nalegał o pośpiech. Wszędzie ten wybitny charakter „kronikarza lwowskiego“ i satyryka Galicyi przeważał nad charakterem beletrysty. Lam powieściopisarz był przede wszystkim Lamem felietonistą, ale w swoim rodzaju tak oryginalnym, że go nikt naśladować nie mógł.

W ostatnich latach, od czasu swojej choroby, która od razu zapowiedziała się śmiertelnie i nurtowała od r. 1883 silny nadzwyczaj organizm, humor Lama nabrał spokojniejszego charakteru, stracił na swej błyskotliwości formy, ale pogłębił się w treści, obserwacya spokojniejsza, sąd bardziej umiarkowany, mniejsza drażliwość, baczenie większe na kwestye, niż na osobistości, i jaśniejszy pogląd na wszystkie sprawy publicznego znaczenia cechowały ostatnie lata jego działalności pisarskiej.

W kronikach do *Dziennika*, w felietonach „Z kraju i ze świata“ do *Gazety Lwowskiej*, w wyborach „Listach z podkarpackiej ziemi“ w *Gazecie Polskiej* zostały zadziwiające niekiedy ślady tej umysłowej tężyzny i talentu, którego długoletnia choroba dokuczliwa, przykuwająca go do łoża, zwłaszcza od śmierci ukochanej córki, nie nadwątliła i nie podkopała. Wada sercowa i aneuryzm aorty zabiły go w końcu, ale jak Heine w swoim „materacowym grobie“, Lam humoru nie tracił i tworzyć nie przestawał; kazał sobie wszystko czytywać, dyktował nieznużenie, gdy mu lekarze zabronili samemu się wysilać przy pracy literackiej i poległ, jak żołnierz na stanowisku, żalowany przez wszystkich, nawet przez najgorętszych przeciwników, chłostanych niemilosierdzie jego dowcipem i sarkazmem.

Niktby nie przypuszczał, iż ten wiecznie uśmiechnięty humorysta, który najłżejsze może pióro miał wśród wszystkich współczesnych naszych

autorów: skłaniał się najchętniej ku poważniejszym studjom i pozostawił ślady badań historycznych, jak np. rozprawę o „Starożytnym Dżwinnogrodzie,” lub ustęp z dziejów polityki i prasy galicyjskiej p. t. „U kolebki dziennika.”

Człowiek był zacnego i prawego charakteru, religijny, dobry kolega, wesoły towarzysz — a pisarz znakomity, po którym zostanie pustka niewypełniona w bieżącej literaturze. Za przekonania swoje walczył śmiało i odważnie, z dobrą wiarą; mógł się mylić, ale nie mylił się nigdy umyślnie, stosownie do korzyści, jaką takie pomyłki dziennikarzowi i wybitnemu publicyście przyniesć-by mogły.

Cześć pamięci jego!...

GWIAZDY

(Wspomnienie).

Fate, whose name is also Sorrow..

E. A. Poe.

Był-że to sen?—Śród cudów górskiej krasy,
Pod dziwnem tchnieniem przepotężnej pieśni,
Którą ochoczo szumiały wkrąg lasy,
Raz mi się zdało, że się ucieleśni
Ideal śniony długie — długie czasy...
Śród skał wyniosłych, w ciemnej jarów cieśni,
Błysły mi gwiazdy dwie, pełne słodyczy,
I czar rzuciły na mnie tajemniczy.

I zdało mi się, że wszystko dokoła
W złociste jakieś rozwiała się pyły,
Że uśmiechnęły się błogo wzgórz czoła,
Srebrzyściej zabrzmiał szmer kaskady miły,
I ptaków pieśń się ozwała wesoła,
Tęsknota dziwna, niesłychanej siły
Zadręnęła w sercu, żal jakiś uroczy,—
I utopiłem w tych gwiazdach swe oczy.

A wtedy moc z nich trysła niepojęta,
Słodka, niewinna, czarodziejska taka,
Że w niewidzialne zakuła mię pęta.
Czułem, że tracę lotną duszę ptaka,
Że mnie ogarnia bojaźń dziwna — świata...
I — byłaby to miłości oznaka?—
Stałem z kornie pochyloną głową
I z ust mi żadne wyjść nie mogło słowo.

Poczęła mówić, a jej głos tak słodki
Był, jak muzyki oddalonej dźwięki,
Jak tęskne, smutne, zapomniane zwrotki
Na wieczornicach nuconej piosenki,
Gdy wkoło zcicha warczą kołowrotki,
A duch w snach tonie,—taki rzewny, miękki...
Pod czarem jego pierzchła bojaźń, trwoga
I duszę słodycz napełniła błoga.

I snuć rozmowy jeliśmy przedziwo...
Słówko za słówkiem leciało jak strzała;
Ona tak dobrą była i tak tkliwą,
Że mi, zbyt wiele gdym rzekł, przebaczała,
A każdy wyraz był, jako ogniwo
Łańcucha, którym duszę mą związała.
Przyszło rozstanie. Byłem jak ci z ludzi,
Których dźwięk przykry nagle ze snu budzi.

Wiele-śmy sobie wtedy powiedzieli,
Cośmy mówili — któż dzisiaj powtórzy?
Wiedzą to chyba niebiescy anieli.
Mnie pozostało coś, jak zapach róży,
Coś, jako z ducha kryształnej kąpieli,
Coś, co bym pragnął, by trwało najdłużej!

O szczęście! tyś jest, jako szlak żurawiany,
Przemkniesz — i znikniesz gdzieś w dali nieznanej.

Odeszła nagle tak, jak się zjawiła,
I tylko jedna purpurowa róża,
Którą na ławce kędyś zostawiła,
Do dziś mię lekką wonią swą odurza,
I tylko rośnie coraz wspomnień siła,
I serce częściej się w ich toni nurza,
Echem się szczęścia minionego pieści,
Lub tonie w żalu i cichej boleści.

I pamiętają to lasy cieniste,
Jak — kiedy znikła — biegłem pod ich cienia —
Jak-em wsłuchiwał się w gwary ich czyste.
Nie zapomniały snadź górskie strumienie,—
I ty na krzyżu słyszałeś, o Chryste,
Jak-em jej imię mówił, gdy promienie
Zachodzącego słońca — z poza chmury
Złotem oblały szczyt Helmowej Góry.

Przeszło — minęło — snadź nigdy nie wróci,
Szumiące lasy szumieć będą dalej,
Prądnik garść pereł na jej ślady rzuci
I zatrze wszystko bystrym prądem fali.
Może spotkamy się kiedyś, wyzuci
Z marzeń, gdy serca nam życie ostali,
Gdy włos zsiwieje w pielgrzymce dalekiej ...

O gwiazdy wspomnień, świećcie mi na wieki!

Miriam.

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

we Lwowie.

I.

Cieszę się niewymownie, że treścią wstępu do niniejszego artykułu będą komplementa dla czytelniczek „Bluszczu”, skoro bowiem szanowna redakcja tego pisma oświadczyła, że moje sprawozdania ze zjazdów pedagogicznych w Galicyi są „chętnie czytowane”, wniosek ztąd oczywisty, że szanowne czytelniczki (mniejsza o czytelników), zajmują się sprawami wychowawczymi, co nawet takiego pessimistę, który już zwątpił o wpływie naszych kobiet na nasze wychowanie, otucha dobrą przejąć musi. Komukolwiek sprawa wychowania polskiego nie jest obojętna, choćby on był tylko przeciętnym czytelnikiem, a nie żadnym kierownikiem opinii publicznej, przypisać muszę więcej samowiedzy narodowej, niżeli pewnemu warszawskiemu redaktorowi dużej gazety, który, wyjechawszy za granicę, skupywał paki książek, dotyczących najnowszego stanu Egiptu, zapytany zaś: co, jako publicysta, sądzi o zjazdach pedagogicznych w Galicyi? — odpowiedział, że nie o nich nie sądzi, a w dzienniku swoim dla takich rzeczy miejsca nie ma. — Bądź zdrow, pomyślałem, panie redaktorze, studiuj sobie najnowsze finanse Egiptu, abys potem mógł o nich długo i szeroko rozprawiać w twoim dzienniku politykom-emerytom na przygryzkę przy czarnej kawie; ja pojedę tam, gdzie Polacy o polskim wychowaniu i nauczaniu radzą i będę o tem rozprawiać wychowawczyniom, pochylonym nad jasnymi główkami dzieciętkę, w które przy ognisku domowem mają się wcześniej zasześcić zarody przyszłej tegości i siły.

A nietylko sam zjazd pedagogów, ale i miejsce tego zjazdu — Lwów, nęcił nas niewypowiedzianie. Gród to starych pamiątek, i nowych dzieł pełen! Dzisiejsze filisterstwo, uderzające rozpaczliwym stępieniem wszelkich szlachetniejszych uczuć, niech się uczy cnót obywatelskich z kart dziejów mieszczaństwa lwowskiego, niech się bu-

duje przykładami tylokrotnego bohaterstwa i poświęcenia tego mieszczaństwa, co w pamiętnym roku szturm Chmielnickiego (1648) więcej ducha i dzielności, niż szlachta, pod Zamość uciekająca, okazało. Z namaszczeniem wjeżdżamy do Lwowa, pełnego starożytnych świątyń i nowożytnych gmachów, do tego przedmurza i ogniska zarazem rusko-polskiej kultury. Tu kolebka Szarzyńskiego, Szymonowicza, Zimorowiczów, Leopoldy, Birkowskiego, króla Leszczyńskiego, Piramowicza, Antoniewicza, Szmita, Smolki; tu na cmentarzu Łyczakowskim mogiły Wacława z Oleska, Szajnochy, Goszczyńskiego, Młockiego, Bielowskiego, Grotgera, Balińskiego, Szmita. Rynek lwowski od XV wieku patrzył na świetne i tragiczne momenta dziejowe Rzeczypospolitej. Nauczycielowi, wjeżdżającemu do tego miasta, nie może nie przyjść na myśl piękna chwila z r. 1624, w której Koniecpolski, hetman W. K., rozdawał mieszczanom na wychowanie dzieci, odbite Tatarom pod Martynowem.

Lwów nowożytny, siedlisko władz i stowarzyszeń na całą Galicyę, ma wszelkie pozory miasta stołecznego, mieszkańców (podług spisu z r. 1880); liczy 110,000, posiada nawet, i to oddawna, Instytut Głuchoniemych i Zakład Ciemnych, na co się nabożny Kraków do dziś dnia jeszcze zdobyć nie może. Liczą około 200 „towarzystw” we Lwowie, najnowsze, jak wiemy, jest Towarzystwo Mickiewicza. We Lwowie odbyły się pierwsze dwa zjazdy nauczycieli (1868 i 1869), na których ukonstytuowało się Towarzystwo Pedagogiczne; z następnych zaś dorocznych odbyły się dwa jeszcze w tem mieście (1871 i 1873). Ostatni zjazd w r. b., jest więc piątym z kolei. Nawiasem dodajemy, że przed trzema laty powstały jeszcze dwa nowe Towarzystwa z siedzibą we Lwowie: Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych i Towarzystwo Pedagogiczne ruskie.

II.

Na obrady XX walnego zgromadzenia Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowieznaczono dzień 19 i 20 Lipca r. b. Zjazd ten, jako w stolicy, z natury rzeczy różnił się musiał od podobnych zjazdów z lat poprzednich (w Przemyślu 1885, w Tarnowie 1884, w Stryju 1883, w Kołomyi 1882 i t. d.), jako w miastach prowincjonalnych. Przypadek, skoro reprezentacja Towarzystwa, jego Zarząd, mieści się we Lwowie, to i sam sposób powitania gości inny tutaj być musiał, niż w innych miastach.

Komitet przyjęcia, który się zawiązał pod przewodnictwem prezydenta miasta, p. Wacława Dąbrowskiego, przy współudziale nader czynnego D-ra Roszkowskiego, prof. uniwersytetu, i p. Boberskiego, inspektora szkolnego okręgowego, nie wysłał się niepotrzebnie na powierzchowne oznaki ostentacyjne; ale komisyja kwaterunkowa zajęła się natomiasz z podwójną starannością rozmieszczeniem przybyłych, których liczba doszła do 400. Całą Niedzielę 18 go Lipca członkowie tej komisyji czynni byli na dworcach kolejowych, wręczając każdemu z uczestników zjazdu kopertę z adresem mieszkania, biletami obiadowymi i t. p.

Dnia następnego, w poniedziałek 19-go Lipca, o godzinie 8-jej odprawił ks. arcybiskup Moławski nabożeństwo na intencyę powodzenia prac Towarzystwa Pedagogicznego w kościele archikatedralnym. (Śpiewami kierował p. Czubski, nauczyciel śpiewu w seminarjum nauczycielskiem). Podobne nabożeństwo odbyło się również w Wołoskiej cerkwi.

Okazała (tylko nie akustyczna) sala radna ratusza i jej galerie zapełniły się uczestnikami zjazdu i publicznością. Zjazd ten zaszczytlił swoją obecnością: przedstawiciel rządu, J. E. Herman Loeb, prezydent namiestnictwa, J. E. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Euzebiusz Czerkawski, ks. kanonik Mazurak, Bolesław Baranowski i inni.

Posiedzenie rozpoczęło się punktualnie o godzinie 9-jej. Przemówił prezydent p. Dąbrowski,

witając imieniem miasta Lwowa zgromadzonych w sprawie, kraj cały obchodzącej; wyrażając błogą nadzieję, że przyszłe pokolenie pięknie wyrośnie, jako godny plon obywatelskiego i gorliwego posiewu i życząc serdecznem „Szczęść Boże”, aby praca obecna, jak najpomysłniej uwieńczyła się skutkiem.

Ze zwykłą swobodą i swadą przemówił prezes Towarzystwa, p. Sawczyński.

Na wstępie podziękował prezydentowi za słowa otuchy, które w serca wszystkich wlewa, zapewniając, że nauczycielstwo nie bierze ich osobście do siebie, ale do sztabu, pod który się zapisalo. Zaznaczywszy potem, że właśnie tu we Lwowie Towarzystwo Pedagogiczne się zawiązało, że tutaj właśnie ułożyło swój statut i tu następnie uradziło projekta, które do ustaw szkolnych r. 1873 weszły, skreślił krótką historią Towarzystwa, dowodząc jego żywotności i uwydatniając że dziś Towarzystwo stało się wyrazem nauczycielstwa ludowego.

W tym fakcie widzi właśnie prezes najdotkliwiejszą wskazówkę żywotności Towarzystwa, bo tylko na dobrze ugruntowanych podstawach t. j., na ludzie oświeconym i moralnym, spocząć może siła narodu. „Nie ten kraj bogaty — mówił — co ma kilku bogatych panów, kilka okazałych pałaców, ale ten stoi silnie, w którym lud wszystkie do życia świadomości powołano, który porządnymi chatami pokryty. Jakby instynktowo, punkt ciężkości reformy wychowania padł na prostaczków, na ubogich w duchu.

„Towarzystwo nasze świadome jest swego zadania i w tym właśnie kierunku idzie naprzód. Braki, które się dotąd usunąć nie dały, Towarzystwo widzi, nie ukrywa ich i usilnie dążyć będzie do ich usunięcia. Ten zwrót ku oświacie ludowej właśnie w mieście Lwowie zaznaczył się najwyraźniej; widzimy tu wiele nowych odznaczających się budynków, to są właśnie szkoły ludowe! Rosną one i kwitną i znowu jedna szkoła świeża wczoraj poświęcona została, (mowa tu o szkole na Zofijówce, Przedmieściu Stryjskiem miasta Lwowa). Stolica nasza Lwów nie szczędziła nigdy ofiar na cele edukacyjne”.

Teraz zabrał głos poważny Włodzimierz hr. Dzieduszycki, zapraszając uczestników zjazdu do zwiedzania muzeum imienia Dzieduszyckich, które stoi otworem, a sam gospodarz gotów na usługi łaskawych gości; wyraził przytem nadzieję, że może niejedną nauczyciel znajdzie w tych zbiorach naszej ziemi niedejen okaz do jego specjalnych badań przydatny. Zakończył życzeniem Towarzystwu pomyślnego rozwoju: „Na dziś i na zawsze — szczęść wam Boże!”

Krótko podziękowawszy Jego Excellencyi, prezes Sawczyński rozpoczął posiedzenie, powołując sekretarza i przystępując do porządku dziennego. Kilka pierwszych punktów, jak sprawozdania z czynności Towarzystwa i z rozmaitych funduszy, bilans, wybory trzech różnych komisyi załatwiono prędko. Niezbyt też wiele zajęł czasu zgromadzonym Dr. Benoni, jako referent o wnioskach, przekazanych Zarządowi Głównemu na poprzednim (XIX) walnem zgromadzeniu. Najgłówniejsze z nich, nad którymi przez cały prawie zaprzeszłoroczny (w Tarnowie) i przez większą część przeszłorocznego (w Przemysłu) zjazdu radzono, są to trzy petycje do wysokiego sejmu o zmianę ustaw szkolnych w paragrafach dotyczących płacy, lat służby i stanowisko prawnego nauczyciela; zostały one przedstawione przez Zarząd Towarzystwa Wysokiemu Sejmowi przy wszelkiem możliwym poparciu. Rezultat z tego dotąd żaden, bo petycje te nie przyszły pod obrady sejmowe, jest to więc jak się wyraził referent, „sprawa w toku.” Inne drobniejsze rozmaite wnioski są mniejszej wagi: jedne objęte są już owymi petycjami, inne załatwiono na właściwej drodze, inne znów, jako niewykonalne, pozostać musiały bez skutku.

Dość energicznie zainterpellowano referenta i zarazem dyrektora Zarządu Towarzystwa, p. Benoniego: dlaczego sprawa owych trzech petycji, sprawa tak silnie związana z losem nauczycieli, sprawa, którą się dwa walne zjazdy tak gorliwie zajmowały, nie została na tegorocznym porządku dziennym umieszczoną? Energicznie też

odpowiedział p. Benoni, dziwiąc się: jakim sposobem można żądać rozpraw nad rzeczą sformułowaną już i do sejmu, najwyższej reprezentacji kraju, wysłaną; powstał przytem na reakcyjne żywioły w Towarzystwie, idące za podmuchem „Głosu nauczycielskiego” (czasopisma wydawanego w Kołomyi) i jego ech w „Kuryerze Lwowskim”, wezwał do powagi i umiarkowania w żądaniach. Po pewnych wyjaśnieniach zdecydowano, że Zarząd wystąpi z prośbą o poparcie tej sprawy na zbliżającej się sessyi sejmowej.

Odczytano telegram od Rady miasta Stanisławowa z zaproszeniem zjazdu na rok przyszły. Ostatni punkt tego pierwszego posiedzenia dotyczył wykształcenia nauczycieli ludowych. Rzeczą, jako ogólniejszy interes budząca, będzie przedmiotem osobnego, następnego rozdziału.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

W tem ja niczyj radzie posłusznym być nie mogę.

Zatem się nikt już odzywać nie śmiał. A to pewna, iż ci co cały bieg życia Jana Kazimierza znali i najbliżej go stali — drugiej takiej chwili, jak owa była, nie pamiętali.

Wszystko męstwo swe i rycerskiego ducha w tej godzinie wyczerpał. Hetmanom czuwającym nad bezpieczeństwem osoby jego nie pozostawało nic tylko mu dać do boku ludzi i straż taką, na którejby nieustraszoną odwagę i przytomność spuszczać się mogli, sami czuwać nad nim nie mając czasu. Więc do osoby samej wyznaczono Kłodzińskiego rotmistrza, Głogowskiego, Podstolego Nowogrodzkiego, i Samuela Nadolskiego. Starostę Krzewskiego, bo więcej ich przy sobie mieć nie chciał. Chorągwie zaś, co przy królu stać miały, pościągano z samego wyboru ludzi z pułków różnych, a cisnęli się do tych Eljerów radzi wszyscy; ale surowy zarządzonego wybór, aby mąż w męża byli godni tego zaszczytu. Komendę też nad tą chorągwią powierzono zaufanym. Wszyscy już tej nocy na dzień następujący napewno rozprawy się spodziewali.

Onemu jowialście Xiezkemu wieczora tego humor i rażność a wesołość wróciły, ale się chlubił tem, że testament napisał, opieczetował i świadków sobie do niego dobrał.

Śmiano się z niego. Tęsknił też za siostrą, mając mu za złe, że do Warszawy pojechał i przepadł tam jak kamień w wodzie.

Tej nocy ktoby obóz obchodził a przypatrzył mu się — nauczyłby się z niego, jako żołnierz swoją dolę przeżywać i naprzód ją widzi. Nie było bowiem człowieka, coby bitwy nie przewidywał i nie gotował się do niej, choć każdy umysłem innym.

Modlili się jedni i pamięcią do domów biegli, do żon i dzieci; inni śpiewali, pili i stare opowiadali dzieje — wszyscy jednak zarówno pragnęli tej godziny stanowej, a szczególniejsze pospolite ruszenie, któremu, choć na męztwie nie zbywało, ale wytrwałości brakło. Tu też najwięcej siano niechęci przeciwko królowi i hetmanom i najlepiej się podkanclerzemu siejba wiodła.

Miał już w pomoc tego, którym się najlepiej posługiwać lubił, nieocenionego Marcina Dębickiego, Podczaszego Sandomierskiego, który tem tylko żył, aby wszystkim na przekorę i na mękę gardłował, a im kto wyżej stał, tem podczaszem milej było do niego sięgać kamieniem.

Człowieka tego nie rozzbroić nie mogło: ani poświęcenie, ani ofiarności, ani zasługi; obrońca swobód, widział wszędzie czyhających na nie, i już bytność jego czuć się dawała w obozie. Pospolite ruszenie, jeszcze prawie nie ruszywszy się, wołało, że chce iść zpowrotem do domów, że dłużej nad dwa miesiące król go w polu trzymać nie miał prawa. Mogła sobie ginąć Rzeczpospolita, ale szlachcica z jego zapiecka, od ciepłego piwa zgrzankami, wyciągać się nie godziło. Byli Niemcy zaciężni, kochał ich król, otaczał się nimi: niechajby oni bronili jego i kraju.

Takie to głosy niepocziwe w przededniu boju sieli Radziejowski i Dębicki po obozie, na województwach, i one im do przekonania trafiały. Raz już o mało nie wybuchnęły przy przeprawie u Styru. Ledwie je zażegnano, teraz warczały coraz głośniejsze i przewidzieć było można, że wkrótce jako płomień stłumione buchną i wszystkie ziemie ogarną.

Mówiono już o tem Wojewodzie Ruskiemu Jeremiu; stał a słuchał zdrewniały.

— Bogdajby tego sromu i hańby nie widziały oczy moje! — rzekł — jeżeli się to stać ma, aby opuścili króla i nas; lepiej zginąć, aby tego nie doczekać.

VI.

Wstał ten dzień walki stanowej, zrazu jasny i pogodny; wiatr z tyłu niósł zpod kopyt konskich pył wzbity ku stronie, od której miał się nieprzyjaciół ukazać.

Na szerokiej równinie, przyparty do małej miejsciny Leszczyńskich, Beresteczka, obóz się rozkładał pomiędzy rzeką z jednej, a moczarami i zaroślami z drugiej strony. Z miasteczkiem, przez rzeczułkę oblewającą je, łączyły dwa umyślnie wzniesione mosty.

Na pobojowisku jeszcze niespełna oczyszczonym z trupów po walkach dwudniowych... ziemia, kopytami konskimi poryta, była jakby świeżo poraną rolą.

Trzecią to noc wojsko, nie spoczywało prawie. Z prostego żołnierza usnął może który na jaką godzinę, snem znużony, ale z dowódców nikt okiem nie zmrugał.

Mówiono, że król trzecią noc żelaznej koszuli trójnitowanej nie zrzucił. Konie mu zmieniano ciągle, bo wydolać nie mogły — on wytrzymywał.

Była to chwila w żywocie jego, która mogła o przyszłości rozstrzygnąć, gdyby fatalność — nie... wola Boża — nie postawiła słupów i nie rzekła: — Nie pójdziesz dalej!

O świcie król do spowiedzi i komunii przystępował — i tego dnia za jego przykładem do Stołu Pańskiego cisnęły się tłumy.

Tymczasem pułki się szykowały do boju, wedle postanowionego w nocy na radzie planu. Król i wódz zajmować miał środek — między dwoma potężnymi skrzydlami. Około niego i za nim skupiały się doborowe chorągwie, pod dowództwem Kazimierza Tyszkiewicza, Cześnika Lit., Jak. Michałowskiego, Janusza Wessla. Chorągwie nieśli Michałowski i Jędrzejowski. Tu stały działa, które prowadził Przyjemski, i pułki niemieckie Huwalda, Borgemana, Fromholda, Wolfa, Weyera, Radziwiłła, Dönhoffa i innych.

Za niemi stały szczupłe posiłki Księcia Pruskiego: dragonia, kilkuset ludzi, Grudzińskich i Leszczyńskich regimenta, a naostatek szlachta Województwa Sieradzkiego, Łęczycka i Brzesko-kujawska, oraz ludzie Księcia Karola, Biskupa Wrocławskiego.

Prawem skrzydłem dowodził stary hetman Potocki, pod którym byli Stefan Czarniecki i Adam Kazanowski; tu stały pułki Lubomirskich, Lancerońskiego, Sapieżyńskie, Sobieskich — i Chorągiew Koniecpolskiego.

Na lewem skrzydle dowodził Kalinowski, a z nim stali Książę Dominik Zasławski, Ostrogscy, Wiśniowiecki, Zamojski..

Wreszcie w odwodzie były ostrogskie ordynackie chorągwie i szlachta ruska i lubelska.

Wszędzie pospolitego ruszenia oszczędzając, stawiano je w dalszych rzędach, na co niektórzy

szemrali, a drudzy znowu mówili: „Kwarciani płaczą: niech na pierwszy ogień idą“

Ze szlachty wszystkiej celowała duchem i postawą sandomierska, choć innym województwom nie było można zarzucić nic, gdyby w nich rebelia się nie wykluwała.

Hussarya zażyła fortelu, wychodząc z obozu, bo spróbowałszy kopii, że na Tatarów z niemi iść nie przystało, gdyż w boju z motłochem broń taka niedogodna, a za ciężka, utkwili rzędami wszystkie w ziemię tak, że zdala, gdy wiatr porcami gęstemi powiewać zaczął, można było je wziąć za stojące wojska szeregi.

A musiało wojsko mieć wielką i groźną postawę, gdyż Han na wzgórze wyjechawszy, jak później jency świadczyli, a rzuciwszy okiem na równinę całą szyszakami i zbrojami połyskującą, za głowę się pochwycił i z największym gniewem do Chmiela się rzucił, zadając mu oszukaństwo a zgubę swą.

Przypomniał mu słowa jego, któremi go wywabił z Ordy, że Kozacy Polaków, jako pszczoły w ulu podkurzyć mieli, a Tatarom ino było miód podbierać.

A i Kozactwo też, które sobie pospolite ruszenie od Zborowa za nic miało, postrzegło, że na ten raz nie łączno było siłą zebraną pożyć. Na chwilę Chmiel i Bohun strwożyli się, szczególnież tem, że Tatarzy nie chcieli ruszać.

Tymczasem ze strony polskiej gotowano się do rozegranej. Otwinowski, który królowi jako tłumacz towarzyszył, ukazał mu znak Hana, trzy zielone ogony końskie, które oni zowią buńczukami.

Pobiegł z rozkazem pocztowy do Przyjemskiego, aby z działa na to miejsce, gdzie stały, ognia dawał a poszczęściło się tak za pierwszym ogniem, że kula padła niedaleko Hana samego, buńczuczego hańskiego zabiła, buńczuk zielony obaliła, i Han przestraszony zbiegł wtył, a stanął zdala.

Ażeby dodać wojsku serca, zarazem we wszystkie trąby, kotły, surmy uderzono, z dział ogień poszedł po całej linii i pieśń bojowa się rozległa. Z przeciwnej strony, oprócz wisku, nic słyszeć nie było, a i ten nie mógł zagłuszyć wrzawy i huk ze strony króla się rozlegającego.

Mało się co zawahawszy, Gałga i Nuredyn, pułkownicy tatarscy, tym razem nie na lewe, ale na prawe się skrzydło puscili, pewnie z porady Kozaków, którzy je słabszym sądzili, dlatego, iż Polacy obyczaj tatarski znali i tu się ich nie spodziewali.

A, że Ordzie jakoś serca brakło, Kozacy się z nią zmieszali, taborem idąc i wozy za sobą mając, łańcuchami powiązane.

Drudzy zaś naprzeciwko lewego skrzydła do boju się gotowali, a tu Jeremi Wiśniowiecki z Dönhoffem, Starostą Sokalskim, stojący, do króla posłali, prosząc o ordynas, aby się im pierwszym z Kozactwem potykać było wolno.

Na Jeremiego też wszystkich oczy obrócone były, bo w całym tem wojsku potężnem nie było drugiego, któryby się, jak on, sławy dorobił zwycięstw nad rebellizantami.

A było w jego postawie, twarzy, wejrzeniu takiego coś, co przyciągało wzrok, budząc poszanowanie i trwogę.

Twarzy nie miał pięknej, płeć ciemną, opaloną i niewczasami zarumienioną, wejrzenie przenikające, postawą też nie odznaczał się olbrzymią; ale pańskiego i hetmańskiego coś miał, że i milcząc rozkazywać się zdawał.

I przeto go ludzie nie lubili, a zazdrościli mu, gdyż nikt oprócz się nie miał siły. Nigdy też namiętności nie okazywał, chyba w boju, gdy jako żołnierz z szabłą padał na nieprzyjaciela; w powszednim życiu spokojny, acz żelaznej woli. Ten zwyczaj miał, że do bitwy zbroi nie kładł, lecz jechał w pospolitej sukni i łosiowym kaftanie, co także raziło tych, co się żelazem obciążali od stóp do głów.

Zaledwie ordynas przywieziono Jeremiemu, gdy szabłą dobywszy, a na pułki swe skinawszy, pusił się prowadzić je na Kozaków... Dönhoff za nim... aż się ziemia zatrząsa od kopyt końskich.

Król na swoim tarantowatym koniu, osłonięty nieco płaszczem, na wzgórzu stał, do przeciaga-

jących pułków błagalnym niemal głosem przemawiając:

— W imię Boże, za ogniska wasze, za wiarę świętą, za kościoły—idźcie a walczcie, sławę mężnych ojców waszych odżywiając, którzy tę Rzeczpospolitą wielką i głośną a straszną uczynili! Dajmy życie dla czci naszej!

A gdy on tak wołał głosem znużonym, powtarzając ciągle:—Gimny dla wiary i czci naszej,—ksiądz biskup Leszczyński, obok stojący z krzyżem świętym i relikwiami, zęgał wojsko i błogosławił ciągle:

— *Benedicat vos Deus.*

Chorągwie się pochylały, trąby grały, huczały działa, a zza mgły, która po jasnym poranku spadła była w dolinę, słońce się znowu wydobywało jasne.

Na placu boju już się nieco mieszało, bo Nura-dyn na Brzesko-Kujawskie i Obożnego Koronne-go pułki padłszy z góry, impetem złamał je i wnet nalewo się przerzucił, zastępując drogę pułkom pieszym, które przeciwko Kozakom ciągnęły.

Co się dalej działo, nawet ci, co walczyli, z tego sobie potem sprawy zdać nie mogli. Złamały Wiśniowieckiego pułki Kozactwo; nadbiegli Tatarowie, ale i tych coraz świeże nadciągające pułki gniotły i odpychały.

Tymczasem król prawie odkryty stał, bo o sobie zapomniał, kula z pagórka królewski też buńczuk zgruchotała tuż przy nim, druga i trzecia obok padły, jednak pod koniem Jana Kazimierza lecąc, wprawdzie nogi nie obraziła, ale kontuzyją i ból w niej pozostawiła po sobie.

Dopiero go gwałtem z tego miejsca wzięto i odprowadzono. W tej chwili, już późnym wieczorem, stanowczo poszła Orda w szaloną rozsypkę, rzucając, co miała, za sobą, a żadna już siła utrzymać jej nie zdołała. Kozacy tylko, których siła nasieczono na grzędzawiskach, zawczasu się okopywać zaczęwszy, zamknęli się w usypanych szan-cach.

Kozacy i Orda pierzchnęli już dawno, gdy na pobojuwisku jeszcze, lękając się zdrady i nowej napaści, czuwali wszyscy, nikt z pola nie schodził. Króla tylko, któremu ból w nodze poruszać się nie dawał o swej sile, zszadono z siodła, ale kląkł zaraz i razem z otaczającymi senatorami *Te Deum* zaśpiewano, które po całym szerokiem polu rozległo się jednym wielkim chórem. Noc nadchodziła, ludzie trzydniowem czuwaniem i trudem znużeni padali jak muchy, gdzie kto stał, i zasypiali snem kamiennym, ani poczuł niejednen, że się na trupie położył. Dopiero się rozpatrywać i liczyć poczęto, kogo brakło i kto już nie miał powrócić, dopiero opowiadać, co się działo czasu tej krwawej rozprawy, z której każdy to tylko wyniósł, czego sam dokazał lub na co patrzył.

Pułki, co się za uciekającymi pusiły, nie zapędzając się zbyt daleko, powoli wracały, wlokąc za sobą to jeńców rannych, to wozy tatarskie, na których miasto innego łupu, kozuchy tylko, opończe, łachmany i przygotowane na więzanie polskiego jassyru lyka znajdowano.

Kozaków oddział pod Dziedziałą, mężnie się wyrębiając ponad rzeczulką Pleśniową do błot i grzędzawie dopadł, i już się tam na gwałt okopywać zaczynał, jak donoszono. Dalej ścigać nie miał siły, ani żołnierz, ani szlachta, z której Krakowianie i Sandomierzanie szczególnież walcą byli znużeni.

Króla do namiotu i spoczynku napróżno chcia-no namówić: nie dał się, tylko Baurowi doktorowi swemu nogę pozwolił opatrzyć i posmarować, uparłszy się w polu razem z innymi noc spędzić.

Namioć więc, od wiatru i rosy, rozbito, bo deszcz, który pod koniec bitwy spadł rześisty, a pobojuwisko niemal naraz w kałużę krwawą był zamieniał, ustał przecie.

Niebardzo i posilić się czem było, bo o tem nikt nie myślał, tak, że królowi miskę jakiejś wołoskiej potrawy przyniesiono, wystygłą, i tą musiał głód zaspokoić. Inni kawałkiem chleba suchego i gorzalką siły wyczerpane krzepili. Nie ustawała też bieganina na pobojuwisku, za tymi,

których nie stawało, aby, jeżeli który żyw leżał, jeszcze ratować.

Ciemno już całkiem się zrobiło, bo i na niebie chmury wiatr pędził, gdy przy blasku pochodni, które czeladź pozapalała, król przed sobą ujrzał w podróżnej opończy, obmokłego i zabłoconego Strzębosza.

Zeszło się tak, iż od rana pośpieszając, a huku dział nasłuchując, teraz dopiero mógł nadążyć, bo w ciągu dnia wymijać musiał błakające się oddziały włóczęgów kozackich i tatarskich i ledwie z życiem, a pismami teraz pod Beresteczko się mógł dostać.

Król, poznawszy go, rękę wyciągnął i ucieszył się bardzo.

— Pisma dawaj! Zdrowa królowa jmość? dawno z Warszawy? co przywozisz?

Pytał Jan Kazimierz i odpowiedzi nie czekając, latarnią podać kazał, aby co rychlej listy czytać, przerywając coraz pytaniami nowemi, na które Dyzma, jak mógł i umiał, odpowiadał.

— Widzisz—odezwał się do niego król w końcu — Pan Bóg miłosierny dał nam zwycięstwo wielkie—Nieprzyjaciół w rozsypce, Kozacy popłoszeni i rozbici, choć im wierzyć nie trzeba: padali już na twarze i przysięgali.

Rozpytawszy o królową, o wszystko, co na zamku go mogło obchodzić, aż do sług swych i ulubionych stworzeń, król się obejrzał trwożliwie, chciał snadź jeszcze o kogoś badać, ale się dosyć ludzi kręciło i słuchało: zamilkł więc i Strzębosza odprawił.

Ten nic pilniejszego nad to nie miał, jak Xieźkiego szukać; ale się pułki ruszyły tego dnia z miejsc, na których obozowały, a po bitwie padły, gdzie który stał: regimentu więc dopytać się łatwo nie było, a i nie miał się Strzębosz z kim rozmówić, bo wojsko całe niemal, krom ciężko rannych, snem już zjęte, leżało jak kłody. Gdy się tak między szeregami przedzierał Strzębosz, postrzegł chłopaka z latarnią, a za nim łatwego do poznania Węgorzewskiego, do którego pośpieszył.

— Na miłego Boga, wy mnie pewnie objaśnicie, gdzie ja wuja Staszka znaleźć będę mógł?! Tylkom co już po bitwie powrócił.

Węgorzewski smutne podniósł wejrzenie.

— Ja właśnie za nim się oto włóczę—rzekł—i ani go znaleźć, ani nawet dopytać nie mogę. Wśród bitwy wiem, że go podchorąży Szlaski na czas wyręczał, bo się Xieźkiemu bić zachciało. Wpadł w gąszcz, siekąc zgłoduńiały, ale potem go już nie widział nikt.

Mniej więcej miejsce mi oznaczono, gdzie się on zawieruszył: włokę się więc, chodź ze mną; a no po drodze na każdego naszego trupa patrzeć potrzeba. Dużo naszych też leży, Boże mój, złotych ludzi, dla tej hołoty bezecnej zaskryfikowanych!

Westchnął głęboko.

Zapytał Dyzma: jak był Xieźki do bitwy odziany i uzbrojony? — ale stary sobie dobrze tego przypomnieć nie umiał. Wiedział tylko, że na misiurce piórka czaple sterczały.

Strasza to była nocna wędrówka na pobojuwisku błotnistem od deszczu z krwią pomieszanego, w którego kałużkach światło latareńki się odbijało czerwono i czarniawo.

Trupy nawpół poodzierane i nagie, jedne twarzami do ziemi, z rękami rozpostartymi, drugie pokrzywione i pogięte pojedynczo i kupkami nagromadzone leżały. Gdziekolwiek gorętsza walka się stoczyła, tam i poucinanych rąk i porąbanych członków nie brakło w błocie, a stosy ciał zwarły się tak potratowane przez konie, że jak jedna bryła mięsa sterczały. Konie i ludzie pospołu wszystko zmieszane... legło. Gdziekolwiek jeszcze zwierzę dyszało lub człek konający jęczał; drgały członki, płynęła żywo krew i zastygała, a krzepnąc okrywała się złotym kozuchem.

Strzębosz, który nigdy w życiu nie był na pobojuwisku, prawie omdlewał ze wzruszenia, to się zapalał zemstą, gdy Węgorzewski kroczył tak spokojny, jakby po piaseczkiem wysypanej

drożynie ogrodu. Szedł z oczyma wlepionemi w ziemię, niekiedy się pochylając, latarkę zniżając, to odprostowując i krocząc znów dalej, pomału.

Szli tak długo dosyć, aż stary, zatrzymawszy się, spojrział dokoła i mruknął:

— Już dalej chyba się nie zapędził, bo gąszcz była wielka. Tu szukać go potrzeba.

Trupa leżało gęsto na stoku pagórka, ale więcej Tatarów; wszędzie oczy otwarte, zaszkłone i usta wół tylko ściśnięte, zpod których białe zęby świeciły... Strach było patrzeć. Każda z tych twarzy zachowała wyraz, z jakim ją konanie pochwyliło, niektóre zdawały się śmiać i uragać, inne kasać. Szli tak długo, aż Strzembosz krzyknął i padł na ziemię. Tuż przed nim leżał Xieźki, porąbany, stężyły już i zimny, z obłamkiem szabli w prawej ręce, a obuszka rękojeścią w lewej.

Nie można się było omylić.

Węgorzewski stanął, przeżegnał się i Anioł Pański odmawiać zaczął.

Dyzma, pochylony nad ciałem, jak dziecko się rozplakał. Przez długi czas płacz jego i modlitwy starego słyhać tylko było, wtem Węgorzewski na pacholka zawołał:

— Nosze mi zróbcie, a no żywo, abyśmy tu nie nocowali, siekierki za pasem macie, a chrustu nie brak tuż. Nie damy mu przecie w kurhanie wspólnym z pospolitym trupem w niepoświęconej ziemi leżeć: na lepszy grób i pamięć zasłużyl.

Nie ruszyli już ztąd, aż nosze dla ciała gotowe było, co wiele czasu nie wymagało.

Gdy nieboszczyka z ziemi podjęto, lepiej się jeszcze okazało, przeciwko wielu on tu walczyć i jakiej nawale uleść musiał, bo i strzałami był poprzeciwany nawskroś i porąbany haniebnie.

A nie jego jednego stratę oplakiwać przychodziło, bo na pobojuwisku spotykali ciągle tych, co swoich albo się doszukać nie mogli albo ciała ich tylko doszli...

Padło tego dnia i z pułkowników wielu: Adam Kazanowski Kasztelan Halicki, Ossoliński Starosta Lubelski, Zygmunt Lanckoroński, Ligeza, Rzeczycki od Kwarcianych. Sam Lubomirski stracił dwudziestu towarzyszt, licząc w to Xieźkiego. Zabrakło Adama Stadnickiego, Stana, Matyasza Bala, a z Krakowian Brzetysława Pieńszka. Z jednej chorągwi hussarskiej Marcina Dębińskiego dwudziestu czterech towarzyszy padło. Opowiadano o Karolu ze Słupowa Szembeku, który, zaręczyszysię, na tę wojnę poszedł i zsamopału przez obie oczy przestrzelony, choć później życie uratował, na zawsze ociemniałym pozostał. Rannych było nie policzyć, a kto lżejsze poniósł na ciele obrażenia, ten o niem i nie wspominał.

Pozostał dzień ten w długiej potem pamięci u ludzi, bo i wielkimi ofiarami był okupiony i niepoczciwi dali im pójść prawie na marne.

Wołało rycerstwo doświadczone, a gonić, a bić, a sieć i ze zwycięstwa korzystać, ale zpoza nich odzywały się głosy:

— Dosyć nauki tej! Myśmy znużeni, w polu czasu wiele spędziliśmy, do domów pilno. Mają Tatarowie za swoje, a i Kozakom nauka nie pójdzie w las.

Król tylko i Wiśniowiecki Jeremi wołali ciągle: — Iść na nich, a co prędzej i dokonać, co się poczęło; albo się na nic nie zda rozlana krew nasza.

Stanęło przecie na tem w nocy jeszcze, aby jak świt, za Ordą wysłać Tatarów litewskich z Czelelim Murzą, któryby Hana umykającego ku Wiśniowcowi ścigał i urywał. Ten później po drodze pochwytywał znacznych jeńców, Murtago i Solimana Agę przyprowadził królowi.

Niezapomniana to była noc owa, noc na pobojuwisku żałobna i radosna razem, a dla wódzów troskami brzemienna, bo tylko niedoświadczony żołnierz tem zwycięstwem się mógł zaspokoić.

Tatarzyn odpędzony wprawdzie umykał, ale

Kozactwo, nie tylko się uparcie okopywało, lecz pomnożenia go spodziewać się było można.

Ci, co ich znali, jak stary Jeremi. wiedzieli, co trzymać, choćby znowu z poddaniem się i pokorą przyszli, która ich nic nie kosztowała, aby na czasie zyskali, nigdy traktatów i przysięg nie dotrzymując.

Ranny brzask, gdy oczom Strzembosza widoko straszne odsłonił zadrżał chłopak i zasromał się, iż w tej godzinie właśnie podzielać nie mógł niebezpieczeństwa ze swymi i los go na to skazał, aby przed walką jechał, a dopiero po niej wrócił. Żał mu jeszcze większy serce ścisnął po wuju, gdy rozdzielając go na piersiach plik papierów znaleźli, a między nimi ów opieczętowany testament, którym, co miał, siostrzeńcowi Dyzmie przekazywał.

Zajął się zaraz pogrzebem Strzembosza, na cmentarzu w Beresteczku zwłoki składając tymczasowo, dopóki by ich nie mógł do Xieżej Woli, gdzie rodzice leżeli, przeprowadzić. Siła też dnia tego grobów tak kopano i murowano dla poległych, ale żywi ich oplakiwać czasu nie mieli.

Czuł to Jan Kazimierz z tego ducha, jaki od wojska, a szczególnie pospolitego ruszenia, zawiewał, że byle zapalowi wojennemu dał nieco ostygnać, już go potem rozdmuchać nanowo będzie trudno. Żywo więc trzeba było natychmiast dalej prowadzić walkę i a szczególnie przeciwko tej gromadce Kozactwa, które się w błotach przez noc na gwałt okopało, działka ustawiło i do rozpaczliwej gotowało obrony. Wybrali na to miejsce właśnie najnieprzystępniejsze, pomiędzy Pleśniawą i rzeczułką a Styrem tak, że one ich z dwu stron broniły, a z przeciwnej strony mosty na prędce na Pleśni pobudowali dla swobodnego zapasów dostarczania.

Dziedziała zaś od wczorajszego wieczora tak swoich ludzi zażywał dobrze, przez całą noc im odetchnąć nie dając, że o dniu wały wysokie bardzo gotowe były.

Dzień ten cały zszedł na naradach, a więcej na wysyłkach przeciwko okopanym, których król koniecznie zdobywać kazał. Za czem Przyjemski choć po rozgrzonym błocie i niewygodnych spadziściach działa prowadzić musiał.

Kozackiemu też fortelowi z początku się dziwowano, jak dzień bowiem w okopach ogromna wrzawa wesoła słyszeć się dała, rzekłby kto gody chłopskie, skrzypki, liry, surmy, szalawaje, śpiewy, bicia w bębni, pokrzykiwania, jakby im tam najszczęśliwszego się coś zdarzyło, z czego się tak niepomiernie cieszyli.

Ci, co chytróści kozackiej nie znali, nieledwie się strwożyli, sądząc, że albo im znaczne posiłki nadeszły lub się czegoś pomyślnego spodziewają. Dopiero stary ów wódz Jeremi, co na kozackich wojnach zęby zjadł, wytłómaczył te, że naumyślnie się radowali, aby nie okazać, jak im tam ciasno było i trwożno.

Znał bowiem to do nich, że albo pokorą się wkupują w łaski, lub zuchwalstwem ustraszyć próbują. Tymczasem zaś w okopach tych, jak najmocniej się osadzić starali, ale i to fortem okazało, aby zyskać na czasie.

Przy wielkiem szczęściu, jakiego król dnia ubiegłego doznał, nie mała też troska szła razem.

Rada prawie przy królu nie ustawała; ale już nawet w tej godzinie, gdy wszyscy jedno trzymać byli powinni, aby nieprzyjaciela przemódz, zdań różność objawiać się poczęła, nie z powodu przekonania wszakże tylko, że jeden drugiemu zazdrościł i gotów był wrogowi folgować, byle się współzawodnikowi nie dać wyprzedzić.

Z wódzów niemal wszyscy Jeremiemu jego szczęścia zazdrościli, za nie go mając w nienawiści.

Król, którego też przeciwko niemu usiłowano zdawna zniechęcić, wystawując jako ambitnego, który zagarnąć chciał i sławę całą i władzę, przecie jaśniej się w tem rozpatrywać począł i zbliżać ku niemu, ale na to drudzy baczność mieli.

Tego dnia, choć do walki żadnej nie przyszło, niepokoiono się wzajemnie. W obozie nikt się rozbroić, ani konia rozsiódlać nie śmiał, po-

puszczano popręgi, a od zbroi zwalniano rękomyki, ale szabli odpasać nie było wolno.

Dwa czy trzy razy Kozacy symulowali, jakby na obóz z boku uderzyć chcieli; znajdowali jednak zawsze gotową gromadkę, która wnet wypadała ku nim i ścigała aż do okopów, do których z działek ognia dawano.

Od Tatarów tylko wolnym był król, bo ci raz się rozproszywszy, już powracać nie myśleli, choć ich Chmielnicki wabił.

Nazajutrz pochwycony przez nich na czatach jeden z czeladzi przyszedł do króla z listem od Hana. Sądono, że po tatarsku pisany był, więc po Otwinowskiego posłano, ale się okazało, że złą polszczyzną skomponowany, pieczęcią nie opatrzony, niedowierzanie tylko mógł obudzać.

Harde to pismo sam pono niepoczciwy Chmiel na zgryzotę i utrapienie króla podyktował. Odzywał się w niem niby Han, że Polacy zwycięstwo swe zdradzie (?) byli winni, wyzywając ich do nowej rozprawy pod Konstantynów, dla odwetu.

Otwinowski, raz i drugi odczytawszy tę kartę, rzucił ją, jako lichą kozacką zaczepkę, która żadnego nie miała znaczenia, o Hanie zaś wiedziano, że o Konstantynowie nie myślał wcale, a strata swych na Kozakach się raczej chciał upominać.

Gdy tak jedni się ucierali i wybiegali ku okopom kozackim, od których kiedy niekiedy huk dział dochodził, drudzy spoczywali, a Dębiński ze swemi Sandomierzanami i inną szlachtą powoli zniechęcał przeciw królowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PO WIELU LATACH.

W salonie, przy jednej z głównych ulic Warszawy, zimową porą, znajdowało się kilka osób, które widocznie kogoś jeszcze oczekiwały. Na kanapie siedziała starszka miłej powierzchowności, uśmiechniona i z ożywionemi oczyma; jej mąż, trochę od niej starszy, przechadzał się wolnym krokiem z założonemi w tył rękami i ciekawie raz poraz wyglądał oknem. Przy oknie siedział drugi nieco młodszy od niego mężczyzna, wsparł głowę na rękę i zwrócił na ulicę wzrok pełen tęsknego oczekiwania, dziwny w zapadłych oczach starca.

Dobrze się już ściemniło, kiedy odezwał się dzwonek w przedpokoju — i po chwili weszła do salonu kobieta, rówieśnica znajdującej się w nim gospodyni, rzeświejsza znacznie, ale mniej przyjemna. Usta miała przykro zacięte, jakby się za ni krył sarkazm, albo skarga; spojrzenie ostre, jakby oddawna odwykłe zwracać się na ukochane przedmioty: zresztą, była to postać zupełnie zwyczajna. Przywitała się z gospodarstwem i przymrużywszy oczy starała się odgadnąć: kto był ten gość, którego jej nie przedstawiono.

On tymczasem wstał, przystąpił do niej — a w tej chwili jakby mu wiele lat ubyło, rumieniec okrył mu twarz bladą, uczuciem zalsniły zapadłe oczy i rzewność zadźwięczała w głosie, kiedy biorąc jej rękę, zapytał:

— Czy mi pani poznajesz?

— Jakżebym poznać nie miała? — odrzekła kobieta — i sama się zadziwiła słodyczą własnego głosu i temi łzami, które jej twarz zalały.

Na to spotkanie oczekiwali właśnie sędziwi gospodarstwo domu, lecz zaspokoiwszy ciekawość swoją, oddalili się, czując — że ich obecność uciążliwą będzie tym dwójgu ludziom.

Służący wniósł światło, a oni usiedli obok siebie i każde z tęsknym uśmiechem patrzyło na białe włosy i pomarszczone lica drugiego, szukając pod niem oblicza, o którym lat tyle przeżyło.

Wiele mieli sobie do powiedzenia, bo czterdzieści lat ubiegło, odkąd raz ostatni rozmawiali

ze sobą: i właśnie dla tego z początku wcale mówić nie mogli. On, zapytany o dzieje lat, które stały między nimi rozłąką, odpowiedział ciężkim westchnieniem; ona na podobne pytanie dała odpowiedź wymowniejszemi nad wszystko łzami. Po jakimś czasie oboje zdołali zebrać główne rysy ubiegłej przeszłości — i w niewielu słowach opowiedzieli ją sobie. A potem cofnęli się do krótkiej, ale jasnej, wspólnej obojgu chwili w przeszłości.

* * *

Czterdzieści lat temu ten stary człowiek był dwudziestodwuletnim młodzieńcem, a ta kobieta rokiem młodszą od niego, piękną dziewczyną. Zнали się od dziecka i od dziecka kochali miłością pocziwą, jaką Bóg choć raz zsyła każdemu na pomoc w tem ciężkim życiu może i na zadatek szczęścia w nieznanej, zaziemskiej przyszłości. Ale inaczej chciał przesąd, wszechwładnie wówczas królujący, bo dziewczyna miała skromne imię i skromniejsze jeszcze wiano, a młodzieniec był potomkiem znakomitego rodu i dziedzicem wielkiego majątku. Była to więc przepaść rozdziału tak wielka, że nawet dalekie pokrewieństwo, łączące rodziny tych dwojga ludzi, zapelnąć jej nie mogło.

Młodzieniec całą siłą siłą uczucia, dziewczyna całą potęgą boleści — chcieli się oprzeć tyranii przesądu; ale tak się on poplątał z powinnością, tak spotężniał jej powagę, że naruszając go, byliby musieli targnąć się na święty serca i sumienia obowiązek.

Rozeszli się.

* * *

Młodzieniec nie miał czasu oddawać się długo boleści. Smutno było żyć samemu, więc podał rękę kobiecie, która mu z pomiędzy wielu innych najmniej obojętną była, i wkrótce, nowym obowiązkiem oddany, pogodził się z życiem. Oczu tylko, że odtąd żyć zaczął tak zwaną rzeczywistością, pod której imieniem ludzie długo jeszcze rozumieć będą przytłumienie najsprawiedliwszych wymagań serca i zaparcie się najszlachetniejszych praw jego. Był dobrym mężem i dobrym — jak to mówią — człowiekiem; ale słumiwszy miłość swoją, zubożał o całą potęgę tego uczucia — i nigdy odtąd nie sięgnął myślą poza granice zwyczajnego życia, nie zapragnął goręcej dobra bliźnich, nie zamarzył o poświęceniu. Dopiero po latach czterdziestu, kiedy mu los pierwszą jego ukochaną przed oczy postawił — niby w chwili jasnowidzenia, ujrzał minione życie, i serce mu uderzyło przypomnieniem wszystkich straconych porywów szlachetnych młodości.

* * *

Kobieta inną poszła drogą. Jej serce dłużej i ciężiej bolało. W miarę jak dla młodzieńca zwiększał się szereg powinności, zapelniających i uświęcających życie, koło niej straszna robiła się pustynia. Śmierć zabierała jej najbliższych, okoliczności odsunęły ją od ukochanych. Sama jedna poszła drogą życia, sama łamała się z jego trudnościami, krwawiła o jego ciernie, a w drodze swojej nieraz pokłonić się musiała bożyszczu, o które roztrzaskało się jej szczęście.

Zostawiając coraz dalej za sobą pamięć miłości swojej, nazwała to uczucie złudzeniem, a wypaczone swe życie, prawdą istnienia ludzkiego na ziemi. Odtąd z pryderskim uśmiechem patrzyła na ludzi, co wierzyli w szczęście, które jej wydarto; deptała obojętnie najdroższe młodych serc nadzieje w przekonaniu, że fałszywe wyraca. Gotowa zawsze dla nieszczęśliwych z czynną pomocą, a nawet ze współczuciem — umiała wesprzeć, ale nie była zdolną nigdy pocieszyć, i nieraz potrafiła najboleśniejszą stronę serca, które ukoić pragnęła. Bo też równie szczęśliwi, jak cierpiący usuwali się od biednej kobiety, która zaprzeczała istnieniu szczęścia i miłości. Kiedy jednak, stanawszy u kresu osamotnionego i bezbarwnego żywota, znalazła na stare lata spokojne schronienie, owoc ciężkiej, długoletniej pracy, niejedną, patrząc na nią, pomyślał: — „Szczęśliwa, nie ma się o co troszczyć! I ona sama nie inaczej myślała aż do chwili, w której z ukaza-

niem się kochanka lat młodych, ocknęły się w niej wszystkie wspomnienia młodości.

* * *

Oi ludzie, spotkawszy się raz jeden po czterdziestu latach, już się więcej nie widzieli. Każde z nich wróciło do swego kąta, do swego zwyczajnego trybu życia a jakie ślady zostawiło w nich owo spotkanie? — na to chyba ich Anieli-Stróże odpowiedź dać-by mogli...

Helena G.

ŚLADY CZASOPISM W STAROŻYTNOŚCI.

Powstawanie i rozrost literatury peryodycznej, czyli tak zwanego dziennikarstwa, wiąże się najściślej z ogólnym postępem umysłowości i literatury powszechnej; podlega też, wraz z temi czynnikami cywilizacyjnymi, zasadniczym prawom rozwoju narodów i ludzkości.

Rozwój ten, zarówno jak postęp dziennikarstwa, zależnym jest znów, jak wiadomo, od wielu warunków społecznych, politycznych i ekonomicznych, niemniej, jak od stosunków klimatu, rasy i gleby. Dlatego literatura peryodyczna, podobnie, jak powszechna, nie może być rozpatrywana odrębnie sama w sobie, lecz w ciągłym związku ze stanem ogólnym umysłowości, bytu społecznego i politycznego danych narodów i czasów.

Pojawienie się pierwszych zawiązków publikacji peryodycznych w Chinach starodawnych, w Rzymie starożytnym i wreszcie po długiej przerwie wśród bujnego rozkwitu umysłowości europejskiej w XV wieku, nie było rzeczą prostego wypadku. Owszem był to objaw uwarunkowany ściśle odnośniami okolicznościami czasu, miejsca i stopnia kultury ogólnej.

Jeśli wspominamy o tych pierwotnych śladach piśmiennictwa peryodycznego, to nie dlatego bynajmniej, aby genealogią dziennikarstwa posunąć sztucznie w jaknajdalszą głęb' starożytności, ale żeby wskazać, iż rodzaj ten działalności piśmienniczej, jako bardziej skomplikowany, powstawać może i rozwijać się należyście dopiero wśród wyższego rozkwitu kultury i cywilizacji. Podobnie, jak dana roślina lub gatunek zwierzęcy pojawia się dopiero w pewnym okresie geologicznym globu, przy odpowiednich warunkach gleby i klimatu, tak samo rzecz się ma z instytucjami społecznymi i objawami umysłowości ludzkiej. Publikacje peryodyczne są niewątpliwie bardziej skomplikowanym wytworem działalności umysłowej i literackiej, dlatego pierwociny ich napotykalmy dopiero wśród znakomicie rozwiniętych stosunków społecznych wewnętrznych i międzynarodowych starej cywilizacji Chin i Romy. Dlatego również zamierzają pierwociny owe w Średnich Wiekach rozwoju Europy, wśród wojen i nawały dzikich hord azjatyckich, aby wystąpić nanowo w wyższych nierównie formach pisma i druku, wepocę odrodzenia się umysłowości i literatury w czasach nowszych.

Dziennikarstwa, w jego znaczeniu nowoczesnym, Starożytność nie znała, jakkolwiek pierwotny dziennik znaczył prawie to samo, co u Rzymian oznaczano przez tak zwane *Acta diurna* t. j. nowiny albo wypadki dnia ¹⁾.

Pierwsze czasopisma, czyli gazety średniowieczne, zawierały suche wiadomości o ważniejszych i ciekawszych zdarzeniach; *Acta diurna* starożytnie natomiast nosiły charakter przypominający w pewnym stopniu niektóre pomniejsze nowoczesne dzienniki urzędowe. Jednym i drugim zbywało jednak na owych rychłych środkach rozpowszechnienia stanowiących potężną dźwignię dziennikarstwa nowszego.

O co początku tak zwanych *Acta diurna*, tyle wiemy, że w ostatnich czasach teokracji starożytności, kiedy znaczna część władzy politycznej znajdowała się jeszcze w rękach duchowieństwa, do obowiązków najwyższego kapłana, obok

podziału roku i układu kalendarza urzędowego, należało utrzymywanie pewnych spisów obejmujących ważniejsze wypadki, jakie zaszły w ciągu roku. Spisy te wystawiane były na widok publiczny w bliskości jego mieszkania. Były to tak zwane *Annales pontificum* albo *Annales maximii*; wreszcie od materyału, na którym je pisano, mianowicie przed zdobyciem Rzymu przez Galów, nazywano je także *Libri lintei* t. j. księgi lniane.

Z czasem atoli, gdy arcykapłaństwo zostało tylko bezsilnym tytułem, a władza polityczna przeszła wyłącznie w ręce senatu i innych stanów świeckich, *Acta pontificum* utraciły także znaczenie i znikły zupełnie około r. 620 po założeniu Rzymu, czyli 134 przed Chr.

Wskazuje to między innymi najdawniejszy text łaciński, w jakim jest wzmianka o *Acta diurna* rzymskich, które nastąpiły po dawnych *Acta pontificum* ¹⁾. Jest to fragment historyka P. Semproniusza Asellio, który, będąc trybunem wojskowym za Scypiona drugiego, przy oblężeniu Numancji, pisał historią wojen punickich i dzieje Gracchów. Semproniusz Asellio w księdze I-ej, określając różnicę historii od roczników, mówi: „Roczniki wskazywały tylko fakta i ich lata, jak ci, co piszą dziennik, którzy Grecy nazywają efemerydą.” Słowo odnoszące się do roczników jest tu użyte w czasie przeszłym, zaś dotyczące dziennika w czasie teraźniejszym, albowiem w kilka lat po wzięciu Numancji lub przynajmniej około tego czasu, za pontyfikatu P. Mucjusza, ustało redagowanie *Annales pontificum*, a zastąpiła je publikacje codzienne zwane *Acta senatus* i *Acta diurna* ²⁾.

Urzędowe *Acta senatus* zawierały pierwotnie tylko protokoły bieżące obrad i składane były w „Aerarium.” Mogły one wprawdzie być przeglądane przez historyków i każdego kto sobie tego życzył, ale na widok publiczny wystawiane nie były. Dopiero Juliusz Cezar, około r. 50 przed Chr., prawdopodobnie dla przypodobania się ludowi, przywrócił zwyczaj ogłaszania protokołów senatu, wiedząc dobrze, iż rozprawy tego zgromadzenia stały się tak nieznajacymi, iż nie było powodu trzymać ich w tajemnicy. Za Rzeczypospolitej cenzorowie i edylowie zajmowali się nadzorem tak zwanych *Tabulae publicae* i zapewne owe *Acta* redagowane też były przez nich i przez pisarzy pod ich kierunkiem zostających.

Wkrótce Rzymianie nagromadzili wielu kolistów i rodzaj stenografów, którzy spisywali mowy publiczne i wszelkie nowiny. Ówczesne *Acta diurna*, które w rękopismach krążyły z rąk do rąk po Rzymie i prowincji, zawierały sprawozdania o edyktach i wyborach, o mowach trybunów ludu, wyrokach sądowych i egzekucjach, wiadomości o zjawiskach atmosferycznych, pożarach, widowiskach, małżeństwach, narodzinach, pogrzebach i pogłoskach miejscowych. Był to rodzaj obwieszczeń, które naklejano na rogach ulic, pod portykami lub dawano do czytania w zakładach publicznych, golarniach i t. d.

Cycero (106—43 przed Chr.) mówi o niejakiem Chrestusie, którego dziennik był bardzo rozgłosnym. Obok wiadomości politycznych, zawierał różne plotki o znalezieniu potwora morskiego, o dzieciach zabłąkanych w lesie, zamężciach znakomitszych i t. d. Liwia, trzecia małżonka cesarza Augusta, dla pochlebiaenia osobom, które u niej miały posłuchanie, podawała do dziennika nazwiska tych, co u dworu byli przyjęci.

Pliniusz starszy czytał w dzienniku z d. III ante Idus Aprilis 13 kwietnia r. 748 od zał. Rzymu 6 (pr. Chr.), że niejaki Crispinus Hilarusz Fesulae, przybył złożyć ofiary w świątyni Jowisza Kapitolńskiego z dziewięciorgiem swych dzieci, dwudziesto-siedmią wnukami, ośmią wnuczkami i dwudziestu dziewięcioma prawnukami. Czytał dalej i powtarza bez przytoczenia daty, która jednak odnosi się zapewne już do epoki Cesarstwa, że gdy Felixa, przewodzącego jednego stronnictwa, złożono na stosie, jeden z jego zwoln-

¹⁾ Le Clerc: Des journaux chez les Romains, Paris, 1838.

²⁾ Hübnér: De senatus populi Romanorum actis — w Jahn's „Jahrbuch für Philologie und Pädagogik”; Suppl., tom III, zeszyt 5. Leipzig 1860.

¹⁾ Reuszen: De diurnis aliisque Romanorum actis. Grooten, 1857.

ników rzucił się w płomienie i że stronnictwo przeciwne dla zmniejszenia wrażenia tego czynu zbyt zaszczynego dla swych przeciwników, głosiło, iż człowiek ów był odurzony dymem kadzideł pogrzebowych. Dalej jeszcze tenże Pliniusz mówi, że za jego czasów, (było to za jego dzieciństwa pod Tyberyuszem), *Acta diurna* donosiły, iż gdy Titus Sabinus został skazany na śmierć wraz z swymi niewolnikami, pies jednego z tychże szedł za nim do więzienia, a nawet do Tybru, gdzie usiłował utrzymać na powierzchni wody ciało swego pana. Dzienniki Rzymskie widocznie nie zawsze się z sobą zgadzały, gdyż Dion, który ich się często radził, opowiada, że samo o psie samego Sabinusa. Pliniusz nawet przyznaje, iż *Acta diurna* mogły zmyślać, i pomimo ich świadectwa pozwala wątpić, aby r. 800, za Klaudyusza przyszedł Fenix do Rzymu oznajmić wiek nowy.

Za Tyberyusza (14—37 po Chr.), do Aktów senatu dołączane były wiadomości o nagrodach i karach, nominacjach i uwolnieniach, budowach publicznych i t. p. Akta owe zatem stanowiły rodzaj kroniki urzędowej; a czy były one przydatne ogółowi w stosunkach życia społecznego, wątpić można.

Począwszy od cesarza Klaudyusza (41—51 po Chr.), Rzymianie zrobili znaczny postęp w swych pismach. Najważniejsze sprawy rozbiegane były w owej kronice dnia. Służyła ona nawet za reklamę próżności możnych; gdy jaką świątynię obdarzono, podawano o tem zaraz wiadomość do dziennika. Seneka chwali się, że tego nie czynił i wzmiankuje, że damy rzymskie nie obawiały się wcale rozgłosu swych licznych rozwodów ogłaszanych w dziennikach. Według Petroniusza towarzysze Nerona (54—68 po Chr.) kazali sobie dzienniki czytać podczas obiadu, a nawet panie rzymskie nie odmawiały sobie tej zajmującej lektury.

Tacyt (ur. około 54 r. po Chr.), wskutek zamięłowania, ile raczej z potrzeby zgłębiania dziejów, badał, zdaje się, starannie owe zbiory materiałów historycznych. Znalazł on w nich dokumenta dotyczące się pogrzebu Germanika, amfiteatru zbudowanego z drzewa na Polu Marsowem przez Nerona, i opowiada, jak chciwie *Acta diurna* czytane były przez wojsko i w prowincjach na całym obszarze panowania rzymskiego.

Suetoniusz (75—160 po Chr.) przytacza *Acta senatus* w przedmiocie darowizny przez Letoriusa na rzecz państwa miejscowości, gdzie się urodził cesarz August, dalej wiadomość o kilku obwinionych, których oskarżył Tyberyusz, a senat nie obawiał się uwolnić i t. d. Zamięłowanie Suetoniusza do historii anegdotycznej prawdopodobnie kazało mu się uciekać do owego popularnego źródła wiadomości częściej, niż o tem wspomina.

Za Trajana (98—117 po Chr.), uchwały senatu na cześć władcy włączano w całości do *Aktów* z rozkazu samego senatu, gdy dotychczas w całości ogłaszano tylko przemówienia panujących.

Wogóle za Cesarstwa zmienił się ton dzienników rzymskich. Kommodus (180—192 po Chr.), zamieszczał w nich zdarzenia, jakie w jego pałacu zaszły. Rzymianie w rozkosznych willach Kampanii chciwie czytali nowiny o wypadkach, intrygach i bucznem życiu stolicy, podawane w dziennikach. Znajdowano w nich bowiem zawsze obok obwieszczeń urzędowych liczne pogłoski i wieści, w rodzaju tych, jakimi zwykła karmić swych czytelników tak zwana prasa brukowa. Jak długo następnie utrzymywały się owe czasopisma, nie można ściśle oznaczyć; zdaje się jednak, iż w III wieku po Chr., podczas ciągłych zamieszek wojennych, poszły w zaniebanie i zupełnie zniknęły.

Później wprowadzie na dworze bizantyńskim zjawiało się coś podobnego, ale były to tylko opisy wypadków dworskich.

Podobnie, jak z czasopismami rzymskimi, miała się rzecz i z dziennikami chińskimi, które od najdawniejszych czasów i dziś jeszcze wychodzą w Chinach, a za ich przykładem w Japonii, Indjach i innych krajach Wschodu. Są to jedynie wiadomości urzędowe władz miejscowych.

W ogólności pierwotne owe publikacje nie mogły być uważane za czasopisma w ścisłym znaczeniu. Brakło im bowiem wszelkich środków owego regularnego i szybkiego rozpowszechnienia, z jakim łączy się właściwe pojęcie dziennika. Ich suche podawanie faktów, przypomina wprowadzie do pewnego stopnia dzisiejsze zaściankowe jakieś pismo urzędowe, ale epokę ich istnienia oddzielają od dziennikarstwa nowoczesnego długie wieki. Żadna tradycja nie łączy ich z tem ostatniem i ciąg rozwoju historycznego przerywa się tu widocznie.

S. C.

NAMIETNOŚCI.

(Z Jokay'a: „Przez czterdzieści lat”).

— Uczucia swoje może człowiek niekiedy oszukać, ale jego namiętności oszukują go zawsze. Gdy im się bardzo opiera, kładą na siebie maskę i tak go podchodzą; ten zatem, kto chce panować nad niemi, niech im się nie poddaje nigdy, aby nie znały bocznych drózek, które do niego dojść można.

— Motyl, który leci do świecy, zawsze sobie przyrzeka być ostrożnym i tak krąży koło płomienia, aby skrzydła nie mogły mu się osmażyć. Jak się to dzieje zatem, że pali się potem w momencie?

— Złem jest wyrażenie, że namiętność upaja; przeciwnie budzi ona pragnienie nieugaszone i to właśnie wykopuje przepaść pod nogami ludzi namiętnych, że dla nasycenia się żąda coraz to silniejszego napoju.

— Człowiek namiętny niech wie o tem, że jest mieszkańcem domu bez zamków i kluczy. W każdej chwili może zostać napadniętym i zrabowanym z najszacowniejszych swych skarbów.

— Wielkie uczucia bywają często nazywane namiętnościami, ale to błąd jest i mylne rzeczy sądzienie. Uczucie zawsze się zna, zawsze jest świadomem siebie w poświęcaniu się dlatego, co mu jest drogiem, i czyni to z siły swojej, a nie ze słabości. Miłość ślepa nie jest głębokiem uczuciem serca, ale namiętnością, to jest warem krwi gorącej i działa naoslep, w zapamiętałości lub uniesieniu szalonym; ztąd też wiele ludzi żałują potem ofiar swoich. Ale tacy, jako żywo nie czynili tego z uczucia miłości, bo w takim razie nie doznawaliby żalu, który jest cofnięciem datku swego, a miłość nigdy tak nie postępuje.

— Brutus, zabijający się w chwili, gdy następca Cezara tryumfował, namiętniej kochał siebie, niżeli Rzym. Nie mógł znieść przegranej własnej, i zapomniał, że sprawa, której służył, nie kończy się wraz z nim—zdradził ją, czy z dumy, czy ze znużenia.

— Egoiści zdają się nieraz kochać silniej nad innych, ale to pozór tylko, który zwodzi. Pragną oni uczynić przedmiot ukochany własnością swoją, chcą go pochłoniąć i posiadać wyłącznie—wziąć w pęta swego samolubstwa, które jest zawsze namiętnością drapieżną.

— Większość mężczyzn kocha namiętnością, większość kobiet uczuciem. Mężczyzna w unie-

sieniu namiętnem mówi kobiecie:—Będę niewolnikiem twoim.... ale dno morskie nie ma tyle ziarenek piasku, ile kobiet zostało oszukanych temi słowami.

— Namiętność nie może być wierną, bo żyje sama sobą i dla siebie. Ogień to jest, który się prędko wypala, bo pożera materyał, z którego powstaje.

— Praca jest najlepszem lekarstwem na miłość nieszczęśliwą, bo nie daje czasu na tęsknotę.

— Zazdrość nie jest miłością a tylko z tego uczucia z odzoną namiętnością. Natura jej jest srogą i dlatego Shakespeare na oddanie typu zazdrości wybrał sobie murzyna, człowieka z rasy dzikiej. Miłość zastawia piersią własną ukochanie swoje, zazdrość je zabija, aby nie uszczęśliwiała kogoś innego.

— Najwyższym próbierzem miłości jest opuszczenie. Ofelia nie dusi Hamleta, ale zabija się sama. Traci z żalu rozum i życie, bo jest istotą słabą i nikłą; gdyby była duchem silnym, żyłaby do siwego włosa, ale do siwego włosa kochałaby niewiernego królewicza. Skoczyłaby w wodę, ale wtedy, gdyby on tonął, a ona mogła go ratować, albo wtedy, gdyby sądziła, że mu będzie lżej razem z nią umierać i że śmierć, wspólnie przyjęta, zaślubi ich duchy na wieczność.

— Miłość, która przetrwa niewierność, jest uczuciem szlachetnem, ale staje się namiętnością niską, skoro ostoi się wobec podłości. Gdyby Penelopa była żoną szulera, który się zabłąkał, wracając z jarmarku, gdzie grał znaczonemi kartami, niktby się nie rozczulał nad jej wiernością i żaden poeta nie wziąłby jej za przedmiot poezji swojej. Wolnoby jej było rozwieść się i nawet iść za innego, jeżeliby nie posiadała dość wyniosłej dumy, aby goić samotnie rany gorzkiego zawodu. Żona Ulisessa mogła była przebaczyć mężowi Nauzykę, ale nigdy tego, gdyby był pokradł bieliznę tej królowny.

— Mężczyzna wyrobił sobie taki przywilej, że wolno mu jest trochę pohulać, zwłaszcza w młodości: pociągnąć ze dzbanu słodczy parę łyków za wiele, zgrać się raz w karty, raz szaleć za cyganką, ale nie wolno mu jest nigdy kochać się miłością prawdziwą w kobiecie nędznej, i wtedy ludzie mogą mówić o nim: — „Oto jest człowiek dotknięty namiętnością upadającą.”

— Chciwość złota jest nikczemną namiętnością, która czyni ludzi skąpcami, graczami, fałszywymi bankrutami i złodziejami publicznego grosza; ale chciwość honorów, pycha, która nad wszystkiemi górować pragnie, wiedzie dalej, bo na same dno piekła: na niebie tworzy Lucyferów, na ziemi zdrajców i odstępców. — Ojciec, jeżeliby twój syn, chcąc zjeść ciastko, porwał grosz kole-dze: rozciągnij go i każ mu dać różgi; ale jeżeli będzie intrygował w szkole, aby zostać prymusem: zamknij się z nim samnasam i oćwicz go tak, aby krew ciekła, a nie będzie to srogość, tylko przeczność.

— Istnieje namiętność okrucieństwa, ponieważ znajdują się ludzie, którzy obierają sobie zawód katów i oprawców: łapią psy na stryczki i wieszają biednych czykosów, służą za pandurów, fantują ubogie wdowy, wypędzają sieroty za granicę wsi rodzinnej; ale to usposobienie nie podaje się do żadnej analizy, bo tu niema już ludzi, a są tylko zwierzęta.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat.

THESC. Jan Lam, (wspomnienie pośmiertne). — Zjazd towarzystwa pedagogicznego we Lwowie. — Gwiazdy, poezya, przez Miriam'a. — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Po wielu latach, przez Helenę G. — Ślady czasopim w starożytności. — Namiętności, przez S. C. z Jokay'a.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat. — 27 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.